

# DRUŻYNA DYSKIETKI

# KSIEGA I

---

1.

BIBA WIELCE  
WYCZEKIWANA

KIEDY FELICJAN ŻUL Z ZAROWIA OGŁOSIŁ, że dla uczczenia swoich pięćdziesiątych piątych urodzin zamierza wydać bibę nad biby, radosne wrzenie zapanowało pośród wszystkich Żuli w Żulogardzie.

Któż wszakże nie znałby Felicjana Żula? Felicjan, osoba znana i kasiasta, cieszył się przeogromną sławą od niemal trzech dziesięcioleci, kiedy to wielce niespodzianie udał się na wyprawę „po flaszkę i z powrotem”, a następnie jeszcze bardziej niespodzianie z niej powrócił.

Owa wyprawa rozpoczęła się od wizyty w Zarowiu pewnego osobliwego jegomościa. Zwano go Ganpawłem the Graj, a był jednym z tajemnego Bractwa Hakerów, o którym to krążą opowieści w krainach Północy. Felicjan, Ganpaw oraz trzech Graczy (Fifi, Lifi i wódz klanu Onetii Helmut Zręcznopalcy) udali się w pełną przygód podróż do Samotnego Pagórka, w którego bezdennych sztolniach odnaleźli Arcyprocesor Eniaca - Złoty CPU; Felicjan zaś, ku swej ogromnej radości, odkrył skarb księcia Żulogardu, Franka Żłopiącego - a była to Flacha Bez Dna.

Gdy Felicjan powrócił do Żulogardu, spotkało go srodze niemiłe powitanie. Kilka zastępów zarowskich Żuli dzieliło się właśnie jego dobytkiem, smakując wyborne trunki z felicjanowej piwniczki tudzież wynosząc meble. Na widok Felicjana, którego w Żulogardzie uznano już za nieżyjącego (pewno dzieś zapił - powiadano), towarzystwo wybałuszyło gały na zewnątrz. Felicjan przegonił ich ze swojej chatki, tłukąc czym popadło w co popadło, po czym przystąpił do smakowania upojnego trunku z Flachy Bez Dna. W tenże sposób, z krótkimi przerwami na siku i papu, spędził następnych trzydzieści lat.

Nie każdemu w Zarowiu podobał się taki stan rzeczy. Felicjan leżał na brzuchu i opijał się darmowym wińskim, podczas gdy reszta Zarowian musiała ciężko harować! (Nadmienić wypada, iż Żule utrzymywali się ze znoszenia węgla do piwnic, nic bowiem innego - poza chlaniem, spaniem, puszczaniem pawików, śpiewaniem i produkcją wszelakich napojów wysokoprocentowych - nie umieli robić).

- „No!” - mawiali co poniektórzy o Felicjanie, dając upust swej niepohamowanej zazdrości. - „To je konfliktowe z naturą Żula! Przyjdzie mu jesio za to zapłacić!”

Ale lata uciekały i Felicjan nie płacił za nic. Ba, w miarę ich upływu, kiedy to wszyscy felicjanowi kumple starzeli się (mówiąc po żulowemu - stawali się fafami), dla Felicjana czas wydawał się stać w miejscu. Naszemu Żulowi uwypuklił się co prawda brzusek, włosy zaś przyprószył pierwszy szron siwizny, niemniej jednak sprawnością, aparycją i wyglądem nic a nic nie ustępował młodszemu pokoleniu (mówiąc krótko - chlał, ile się tylko dało). Coś takiego dla niektórych było już wręcz nie do zniesienia - wszakże wydawało się jaskrawo niesprawiedliwe, by ktoś naraz był wiecznie młody i bogaty. Niejeden Żul pękał z zazdrości na myśl o felicjanowej Flasze, a także o skarbach, które Felicjan rzekomo miał zakopać pod swoją chatką.

Atoli Felicjan na wszystko bimbał i dopiero przed kilkunastoma laty odczuł, jak wielce doskwiera mu samotność. Zdarzyło się podówczas, iż jeden z felicjanowych braci, Maurycy Lamer z Lamerowa zginął tragicznie, przytrzasnąwszy sobie język klapką od czytnika CD-ROM. Maurycy osierocił małego synka, toteż Felicjan, jako jedyna pozostała rodzina, postanowił zabrać chłopczynę do siebie na wychowanie. Ów chłopczyna miał na imię Marian.

Zdarzyło się pewnego pięknego, jesiennego popołudnia, iż piaszczystą dróżką biegnącą przez Zarowie jechał zabytkowy motor komarek, ciągnący za sobą wóz po brzegi wyładowany drewnianymi skrzyniami. Motocyklista nosił schludnie skrojony, szary garnitur, szare spodnie oraz buty, a na głowie miał biały kask i okulary google. Jego broda i wąsy były długie i szare, aczkolwiek znacznie przerzedzone. Na wozie oraz na komarku widniały duże, niebieskie znaki G oraz znak klawiaturowy Programistów ¶.

Były to oczywiście znaki Ganpawła the Graj, a motocyklistą był on sam - Haker sławny w Żulogardzie dzięki swym sztukom z kolorowymi światłami. Wszyscy Żule znali go tylko od tej strony, nie

mając pojęcia ani o jego prawdziwej naturze, ni też o zagrożeniu, przez które tu przybył.

Lecz Ganpaw póki co nie martwił się na zapas. Jadąc przed siebie co rusz pociągał z piersiówki (Bon Kolt Spirytus, 99,99% vol.) i na całe gardło śpiewał swą ulubioną piosnkę:

Kolorowe kredki!  
W pudełeczku noszę!  
Kolorowe kredki!  
Bardzo lubię JEEEEEE!!!

I na zakończenie refrenu Haker wrzeszczał tak diabelnie, że szyby w promieniu kilometra wypadały z okien, a kto żyw w panice zwiewał gdzie pyrki rosły.

Nieopodal ścieżyny, którą jechał nasz zacny, lecz za cholere niepotrafiący śpiewać Ganpaw, znajdował się rów, a z trawy i trzcin, które go porosły, wystawał ubłocony buciór. Rozwiązana sznurówka drgała w akompaniamencie rytmicznego dźwięku, przypominającego chrapanie.

W tym rowie spał siostrzeniec Felicjana Żula - Marian Żul.

Marian ślamazarnym ruchem ręki odgarnął źdźbła trawy, wystawiając swą umorusaną węglem twarz i mętym wzrokiem spojrział na prawo, a potem na lewo. Z jego ust wystawał dawno zgasły pet, a w łapce dzierżył flaszkę wina, z którą nigdy się nie rozstawał. Nasz Marian ubierał się jak większość Żuli - za duża kapota, szerokie spodnie podkasane w kolanach i związane w pasie sznurkiem, podarty sweter i puchata ruska czapa. Siostrzeniec Felicjana wdział ten strój przed kilkoma laty, gdy uroczyście wkraczał w dorosłość. Obiecał wtedy, że nigdy się z nim nie rozstanie i jak widać, chłopak przyrzeczenia dotrzymał. Wskazywała na to czystość owego stroju, jego woń oraz unoszące się naokoło opary, ale dla Mariana nie miało to żadnego znaczenia, bo Marian nigdy jeszcze nie był trzeźwy.

Marian Żul, zbudzony rykiem komarka i nieludzkimi wrzaskami Hakera Ganpawła wygramolił się z rowu w zamiarze dokonania

srogiej zemsty. A gramolił się tak dobrą minutę, czyniąc to ze zwinnością godną pijanego taternika.

- Kto mie budzi, do pierona?! - zakrzyknął gniewnie Żul, gdy zdołał się podnieść.

- Zali tak oczekujesz gościa z dawien niewidzianego? - zapytał Ganpaw, zdejmując okulary google.

- Ganpaw Chakier przylazł! - wykrzyknął Marian, a jego ubrudzoną twarz rozjaśnił uśmiech. - Ale chyba żeś się spóźnił.

- Hakerzy nigdy się nie spóźniają, Marianie Żulu. Nigdy też nie są za wcześnie. Przybywają zawsze wtedy, gdy jest na nich pora.

- No - zgodził się Marian, po czym wgramolił się na siedzenie dla pasażera.

- Nie myślisz chyba - rzekł Ganpaw odpalając komarka - że mógłbym przejść beznamietnie obok dzampy takiego kalibru, jaką urzędują twój stryjek.

- No. Jedzimy. Napiłbym się bym.

- Prawisz, jakbyś zaiste długo nic nie pił.

- No. Ino jak sie flacha skończyła i żem se zasnął.

Ganpaw i Marian, gawędząc jak to starzy kumple, wjechali do Zarowia przez Południowy Most. Był akurat Dzień Degustacji, przeto na rynku spotkali wielu Żuli - i starych, którzy, jak to powiadają „w niejednym rowie spali”, jak i młodych, mających jeszcze „piwo pod nosem”. Żule z Zarowia doskonale znali Ganpawła, toteż teraz, widząc starego Hakera zasuwanego na swym komarku, witali go machając łapkami, bądź krzycząc „WITÓJ!”. Ganpaw kłaniał się wszystkim serdecznie, niestrudzenie uchylając swej czapki dżokejki.

- Och, jakże wam zazdrozczę! - rzekł Haker, gdy przejechali przez rynek i znaleźli się na zalesionych wyżynach. Pełno tu było wyrastających między rowami drewnianych chatek grożących zawaleniem przy najmniejszym powiewie wiatru.

- Żule to najmniej znana i najwięcej lekceważona ze wszystkich ras - kontynuował Ganpaw - atoli wśród wszystkich mieszkańców Systemu jesteście najszczęśliwsi! Tego właśnie mi brak; życia bez trosk i utrapień! Zamieszkać w małej chatce pod lasem i rozkoszować się

przyjemnościami dnia codziennego; oto i me największe marzenie! - Haker zasępił się.

- No - powiedział Marian.

- Rzeknij lepiej, cóż tam słyhać u starego marudy. Ciągłe, gdy się wkurza, robi: „bła ba ba ba”?

- No. Bibę wuja Felek robi.

- To akurat wiem - zauważył Ganpaw.

- Bydą flachy i żarcie, i flachy, i coś do picia, i flachy, a nawet flachy bydą!

- A flachy?

- Noooo... tyż bydą! A szo, nie mówił zem?

- Tak, tak... - mruknął Ganpaw, uśmiechając się dobrotliwie i pociągając z piersiówki. - Będzie to zaiste niecodzienna biba...

Ganpaw, na prośbę Mariana, wysadził go na najbliższym zakręcie, by nasz Żul mógł spędzić popołudnie, jak to Żule mają w zwyczaju, a więc wylegując się w rowie. Ledwo Marian wygramolił się z siedzenia, zaczął łapać halny (to żulowskie powiedzonko oznacza: iść wężykiem po drodze z rozstawionymi rękoma, próbując jednocześnie utrzymać równowagę). Marianowi powyższe się nie udało, przeto wywinął orła wprost do błotnistego rowu i chwilę później już w nim chrapał.

Felicjan Żul niepomiernie ucieszył się widząc dawno niewidzianego kumpla. Wspólnie z Ganpawem zasiedli w pokoiku felicjanowej chatki i wspólnie opróżnili kilkanaście flaszek najprzedniejszego jabcoka za dwa czterdzieści, aż dopadł ich wieczór.

- Zaiste przepyszny masz bimberek - pochwalił Ganpaw. - Wyczuwa się, że pędzony nie przez byle kogo.

- No - zgodził się Felicjan. - Dobrze to, ino że mie ju zbrzydło. Potrzebuję odpoczynku, stary fumflu.

- Więc ani myślisz rezygnować ze swoich zamierzeń?

- Ni.

- To wielce okej. Trzymaj się swego planu, ale pamiętaj: CAŁEGO, a wszystkim wyjdzie to na dobre.

- No. Kawała se zrobię starym zgredom.



- Ciekaw jestem, kto też będzie się śmiał jako ostatni - rzekł Ganpaw i niedowierzająco pokręcił głową.
- Się obaczy - mruknął Felicjan.

Nie upłynął nawet tydzień od przyjazdu Ganpawła, a przygotowania do biby ruszyły pełną parą. Wszystkie browary, gorzelnie i bimbrownie (nawet te prowadzone nielegalnie po piwnicach) otrzymały gigantyczne zamówienia na wszelkiej maści napoje alkoholowe. Zapał udzielił się wszystkim Żułom z Zarowia - każdy nerwowo zdzierał kartki z kalendarza (niektórzy nawet po dwie i więcej dziennie), nie mogąc doczekać się dnia biby - Felicjan bowiem zaprosił wszystkich, a skoro kogoś pominął, to tylko poprzez własną nieuwagę.

Wkrótce na polance naokoło felicjanowej chatki jakgdyby spod ziemi wystrzeliły wielgachne, różnokolorowe namioty. Drzewa ozdobiono kokardkami i kolorofonami, a na potrzeby zaproszonych gości dokopano dodatkową sieć rowów. Stoły (a było ich chyba ze sto) ugiwały się od najwyborniejszych piw, win oraz wódek, natomiast dla koneserów przygotowano denaturaty, wody kolońskie, rozpuszczalniki, alkohol metylowy, benzynę oraz olej silnikowy. Wieść o tych „napojach bogów” pędziła szybciej niż Żul na darmową degustację wina, toteż podniecenie zaczęło sięgać zenitu.

W piątek, w wigilię biby niebo osnuło się brunatnymi chmurami i setki żułowskich serduszek ogarnęły niepokój oraz trwoga. Szczęśliwie następnego ranka Monitor wstąpił na błękitną już Powłokę, załopotwały flagi, wystrzeliły zakrętki od winiaków i zaczęła się biba nad biby, jakiej Zarowie nigdy dotąd i nigdy później nie doświadczyło.

Przy bramie wejściowej wraz z komitetem powitalnym (który gremialnie zdążył już się schlać) stał sam dostojny jubilat i ofiarowywał prezenty każdemu z gości. Najczęściej wręczano flachy Jawola, najpopularniejszego winiaka w Zarowiu, a otrzymywali je nawet ci, którzy przeskoczywszy płot na powrót stawiali do kolejki. Na zaproszonych czekały gry i zabawy (choćby - najdłuższe

pierdnięcie, najobszerniejszy paw, skoki przez rów oraz żonglowanie flachami, których i tak nikt nie łapał), a oprócz tego muzyka, śpiew oraz oczywiście jedzenie i chańsko. Muzyką zajął się DJ Ganpaw - dostojny Haker usadowił się przed przywiezionym z dalekich krain komputerem i przy pomocy dwóch również zaproszonych Graczy obsługiwał ową muzyczną maszynę. Z zawieszanych na drzewach kolorofonów wypływały smugi wielobarwnego światła, a Ganpaw co rusz serwował towarzystwu jakąś empetrójkę, którą to ostatnio przywiózł z Usingu. Na szczęście Haker zapomniał zaopatrzyć się w mikrofon, co oszczędziło Żułom jego wielce wątpliwej jakości popisów wokalnych.

Biba rozgorzała się na dobre. Od rana do wieczora Żule chlali, jedli, rzygali, spali, potem znów chlali, jedli, rzygali i tak w kółko. Co zapalczywszych trzeba było zamykać w schowkach na miotły.

Marian Żul czuł się jak w siódmym niebie. Zasiadał (o ile akurat nie spał albo rzygał) po prawicy swego wuja i dopóty wznosił toasty za jego zdrowie, dopóty towarzystwo siedzące przy jego stole nie usnęło pod nim. Gdy zaczęto tańce, osamotniony Marian natknął się na swego kumpla od flachy, Alfreda Żula. Alfred, niskie i korpulentne Żulisko, żłopał właśnie denaturat (bez przelewania!) i spoglądał ukradkiem na lokalną seksbombę, za którą niejeden Żul wzdychał - na panią Władysławę.

Pani Władysława była niska i tęga, miała twarz starej czarownicy po przejściach, piętnaście włochatych brodawek na nosie a także dwa wystające z dolnej szczęki zęby; całości dopełniało zaś lubieżne spojrzenie oraz wywalony na zewnątrz język. Owa piękność tańczyła w kółeczku, upatrując kolejnych ofiar, które najchętniej zawlekłaby do lasu, by móc tam z nimi poswawolić.

- No dalej, Alfred! - Marian klepnął kumpla w plecy. - Idź no wrywać laski!

Biedaczysko Alfred potknął się i wpadł wprost w objęcia pani Władysławy, z których nie wyswobodził się aż do końca biby.

Biba trwała i trwała, aż nastał wreszcie czas przemówienia. Schlani w trzy dupcie Żule, spostrzegłwszy jubilata gotującego się do

przemowy zaczęli nawzajem uspokajać się, wskutek czego powstał jeszcze większy rozgardiasz. Felicjan w tym czasie wdrapał się na piramidę ze skrzynek po winiakach i pomachał do wszystkich jedną ręką, drugą trzymając w kieszeni.

- Moje kochane Żule i Fafy, Chlacze i Menele, Śmierdzożadki, Nadętobrzuchy, Zarośniętomordy, Starozboki i Cuchnostopowie!

- Cuchnosyrowie! - zakrzyknął stary Żul, usadowiony przy stole obok i prezentujący na nim swe odziane w podziurawione skarpetki stopy, które kontaktu z wodą nie miały od bodajże stulecia. Wszyscy Żule w promieniu kilku metrów musieli założyć klamerki na nosy, a dookoła cuchnących stóp (lub syrów, jak kto woli) bżykało pokaźne stadko much.

- Dzisiaj, jak se ju wieta - kontynuował Felicjan - pięćdziesiąte piąte urodziny są moje!

- Brawo!!! - rozległy się okrzyki. - Śiśkiego najlepszego! - dorzucali niektórzy, łamiąc sobie języki.

- Fajowska biba, szo nie?

- Jooooooo!!! I chlamy! - zakrzyknęli wodzireje, po czym kilkaset litrów win i innych specjałów spłynęło z flaszek do gardeł gości. Dostojny jubilat znów pomachał, zwracając na siebie uwagę.

- Jo żem cuś ciał wam POWIDZIEĆ - ostatnie słowo Felicjan wypowiedział głośno i wyraźnie, a wszyscy Żule oderwali się od chłania i spojrzeli nań z zaciekawieniem. - To ju koniec jezd już se. Życze miłej rozpierduchy i kaca jutro z rana. ODCHODZE JA. SIE MIEJCIE!!

Felicjan cofnął się o krok i zniknął. Błysnęło zielonkawe światło, oślepiając na moment zgromadzonych, a kiedy zgasło, nie było nawet śladu jubilata. Przez chwilę trwała cisza, a następnie Żule, Fafy, Chlacze, Menele, Śmierdzożadki, Nadętobrzuchy, Zarośniętomordy, Starozboki i Cuchnosyrowie zaczęli przekrzykiwać się jedni przez drugich.

Zaś Felicjan Żul przez cały czas przemowy bawił się w kieszeni dyskieta, sekretnym skarbem przechowywanym w ukryciu przez

wiele lat. Kiedy po ostatnim słowie zrobił krok w tył, przesunął mały ruchomy element w górę i nigdy później nie widziano go w Zarowiu.

Felicjan co sił w nogach podreptał pod swoją chatkę na skraju lasu, gdzie stał dłuższą chwilę, wsłuchując się w dźwięki biby napływające z polany, a gdy już się nasłuchał, wszedł do środka. Jeszcze w marszu zrzucił z siebie uroczysty strój, a wdział stare, podniszczone łachy. Opiął się skórzanym pasem, a do kieszeni włożył poszarzałą, mocno porysowaną płytkę CD-ROM w plastikowym pudełku. Zabierając się już do wyjścia, złapał potłuszczoną, papierową torbę i włożył do niej swą dyskietkę. Już kładł ją na stoliczku, gdy naraz raptownym ruchem wsunął ją do kieszeni kapoty. W tej samej chwili, niczym bezszelestny cień, w pokoiku zjawił się Ganpaw.

- Sie ma! - zagadnął Felicjan.

- Zapewne sądzisz, że było to niesamowicie mądre - rzekł Ganpaw, siadając przy stole.

- No - odparł Felicjan. - Ześ widział gęby ich?

- Co racja, to racja. Dałeś całemu Zarowiu powód do pogwarek przy winie przez najbliższe siedem, a może nawet siedemdziesiąt siedem dni. Teraz ciekawi mnie wielce, cóż poczniesz dalej.

- Wyjeżdżam se, stary fumflu i nie bede ju wracał. Mam po dziurki w nosie tego życia. Żem sie zmienił sie od tamtych dni, wiesz o tym, szo nie? Więcy we mie ciekawości Programisty i uporu Użytkownika, ni ciągoty do flachy Żula. Stary jezdem, fakt. Czujam sie taki... rozrzedzony, jak za mało spirytusu rozcieńczune w za dużej ilości wody. Żle mie z tym.

Ganpaw spojrział na Felicjana nie szczędząc zdziwienia. Jak System długi i szeroki Żule słyńą ze skąpości i niebywałej prostoty swych wypowiedzi, natomiast powyższy monolog wysoce odbiegał od tego standardu.

- Uważał bedziesz na Mariana, szo nie? - zapytał Felicjan.

- Ależ oczywiście - przyobiecał Haker.

- Szystko, poza paroma klamotami, jemu zostawie. Mam nadzieje, że bedzie w Zarowiu szczęśliwy.

- Wszystko? - zapytał ostrożnym tonem Ganpaw. - A cóż z twoją dyskietką?

- Eee... - Felicjan zająknął się, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk. - No... ją to też.

- Gdzie ją pozostawiłeś?

- Na stoliku se leży, w torebce od winiaka - odparł Żul. - Chocia... ni. Mam ją tu, w kieszyni. Szy to nie dziwne? - uśmiechnął się karykaturalnie i mruknął do siebie: - A dlaczego ni? Może by tak se ją zabrać?

- A ja myślę, że powinieneś zostawić dyskietkę Marianowi. Tak przecież postanowiłeś, czy pamiętasz?

- No... - Żul zająknął się - a co to cie interesi? Ciągłe pytujesz o dyskietkę tą!

- Zgadza się, przyjacielu. Muszę znać o niej prawdę. Takie dyskietki są rzadkie, wielce tajemnicze i częstokroć niebezpieczne, a moim zawodem jest je badać. Poza tym uważam, że miałeś tenże skarb wystarczająco długo i teraz powinieneś przekazać go Marianowi.

- A po kiego grzyba niby?! - wykrzyknął z nieudanie zamaskowaną złością Felicjan. - I co cie obchodzi, co z nią se robie?! Je moja, mogie z nią robić, co tylko mie sie podoba!!!

- W rzeczy samej - zgodził się Ganpaw - atoli czemu się tak denerwujesz?

- To, że sie wkurzam, to ino przez ciebie jest! Dyskietka je moja, syszysz: MOJA! Je moim... cycusiem glancusiem! No... właśnie!!! CYCUSIEM GLANCUSIEM!

Na skupionej dotąd twarzy Hakera zagościł wyraz niepokoju.

- Ktoś już tak ją nazwał, ale nie ty...

- No i szo z tego, szo?! - krzyczał Felicjan. - Wtedy nazywał ją tak Gnollum, a tera se nazywam ją tak JA!

Rozzłoszczony Ganpaw powstał.

- Głupcem będziesz, jeśli zatrzymasz dyskietkę! - rzekł Haker głosem twardym niczym dysk C:\. - Nie wiem, jakie drzemią w niej kody źródłowe, atoli mają one na ciebie zbyt duży wpływ. Posłuchaj

radę kumpla, z którym niejedną flachę opróżniłeś i zostaw dyskietkę Marianowi!

- Jak cesz ją se zabrać, to mie gadaj! - Żul wyjął z kieszeni płytkę CD-ROM, która w jego dłoni zmieniła się w zdobiony, lśniący białym światłem mieczyk. - Ale jej ni dostaniesz, bo una ju je MOJA!

- FELICJANIE ŻULU!!! - wykrzyknął groźnie Ganpaw, a oczy zapłonęły mu jak dwie diody. - Nie próbuj doprowadzać mnie do wściekłości, bo dane ci będzie ujrzeć Ganpawła the Graj w postaci, której dotąd nie oglądałeś!!! - co mówiąc, Haker podszedł do Felicjana; wydawał się teraz bardzo wysoki i jeszcze bardziej groźny, a jego cień wypełnił cały pokój. - Nie próbuję cię ograbić. Chcę tylko ci pomóc.

Ledwo skończył mówić, cień rozplątał się w świetle świec, a Ganpaw na powrót był zgarbionym i zatroskanym staruszkiem.

Felicjan zaskomlał niczym wystraszony mamiś ciapa i przydreptał do Hakera; Ganpaw natomiast pochylił się i pogłaskał go po rozczochranej głowie.

- Zaufaj mi - rzekł, uśmiechając się przyjacielsko - jak zaufałeś mi wtedy, trzydzieści lat temu i niechże odtąd zawsze tak będzie. Posłuchaj więc rady kumpla i pozostaw dyskietkę Marianowi.

- Chyba masz rację, Ganpawiu - odpowiedział Felicjan. - Dyskietkę musi se dostać Marian. Przecie o to chodziło, szo ni? Rozdać szystko fumflom, zanim wyrusze se w świat. A tera spadam. Droga daleka, czas ju - Żul złapał za przyszykowany wcześniej kijaszek i skierował się w stronę drzwi.

- Felicjanie, dyskietka wciąż jest w kieszeni twojej kapoty - zauważył Haker.

- Wim!!! - wrzasnął Felicjan. - Weź ją ode mnie, tak chyba bydzie najlepiej.

- Nie. Połóż ją tu, na stoliku. Będę jej pilnował, dopóki nie zjawi się Marian.

Żul przydreptał do stoliczka i już miał położyć na nim potłuszczone zawiniątko, gdy naraz zadrżała mu ręka. Pakunek upadł na podłogę i Felicjan schylił się po niego, lecz Ganpaw był szybszy; podniósł zawiniątko, po czym położył je na stole. Twarz Żula

wykrzywiła się w grymasie gniewu, który chwilę później ustąpił miejsca uśmiechowi ulgi.

- To ju kuniec - powiedział Felicjan. - Jakoś mie tak lepij na sercu tera.

Wyszli na zewnątrz, gdzie czekali już na Felicjana dwaj Gracze, ubrani w białe kubraczki i podkoszulki. Felicjan spojrział ostatni raz w niebo, na lasy i na błonia, gdzie trwała jeszcze biba, po czym powiedział:

- No.

- Wielce dobrze widzieć cię takiego, jak kiedyś - rzekł Ganpaw. - A teraz żegnaj, Felicjanie Żulu. Stary już jesteś, ale jak na Żula nawet dość mądry, więc na pewno dasz sobie radę.

- Sie miej! - powiedział Felicjan, posyłając Hakerowi pożegnalny uśmiech, po czym wraz z Graczami ruszył przed siebie łąką, z wolna wnikając w mrok nocy. Haker jeszcze jakiś czas spoglądał na nich w ciemności, łowiąc uszami słowa cichutkiej pieśni:

Hej, ho! Hej ho! W drogę już czas!

Hej, ho! Hej, ho! Bierz bagaż, laskę i pas!

Hej, ho! Hej, ho! Czy słońce świeci, czy chmury!

Hej, ho! Hej, ho! Ruszamy w doliny, na wzgórza i w góry!

- Trzymaj się przeto, Felicjanie - rzekł Haker, jakby sam do siebie. - Do naszej następnej biby!

Wskazówka na ganpawłowym zegarku nie wykonała nawet ćwierci obrotu, a w chatce na skraju lasu zjawił się Marian.

- No - powiedział, widząc Hakera w zamyśleniu pociągającego z piersiówki.

- Dobrześ to ujął - rzekł Ganpaw. - Felicjan już poszedł.

- Aha - odpowiedział Marian.

- Jesteś teraz wodzirejem Zarowia, mój młody Żulu. Felicjan wszystko, łącznie z dyskiatką, pozostawił tobie.

- Dyskiatkę tyż? - zapytał Marian z niedowierzaniem.

- Dam ci radę, Marianie Żulu i proszę cię: zastosuj się ku niej. Nie wiem, co zapisano na owej dyskietce, ale czuję w duszy strach przed jej bajtami. Ukryj ją więc dobrze i nie używaj publicznie, dopóki nie powrócę, jako że właśnie wyjeżdżam, a więc trzymanko! - Haker powstał.

- Że jak?! - jęknął Marian. - Jutro będą poprawiny, pojutrze poprawiny poprawin, a popojutrze...

- Tak, wiem - dokończył smutno Ganpaw - poprawiny poprawin poprawin. Żal mi wielce tegoż odrzutowego bimberku, który pędziliście w piwnicy, lecz nic nie poradzę - muszę jechać. Żegnaj zatem i uważaj na siebie. Wyczekuj mojego powrotu w najmniej oczekiwanej chwili!

- Aha.

Po kilkunastu flaszkach na pożegnanie (tego dostojny Haker nie mógł przecież odmówić) zataczający się Marian odprowadził równie zachlanego Ganpawła do drzwi chatki na skraju lasu. Ganpaw po raz ostatni pomachał mu na pożegnanie, po czym oddalił się szybkim krokiem, chociaż nasz Żul miał wrażenie, jakby Haker garbił się pod wielkim ciężarem. Zapadła już noc, więc na jej tle szara postać szybko przestała być widoczna, a Marian i tak nic już nie widział, bo zasnął oparty o futrynę.

Miało upłynąć wiele dni, zanim ponownie ujrzął Ganpawła.